

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI
o książce „Wędrujący świat”

Czytając „Wędrujący świat” Grzegorza Kołodki, czułem żal i satysfakcję. Żal, że jego poglądów prawie nie znałem przed trzema laty, gdy pisałem „Inne światy, inne drogi”; gdybym znał, książka moja by sporo zyskała. Satysfakcję zaś, albowiem me poglądy we wszystkich niemal kwestiach są zbieżne lub identyczne z opiniami Kołodki.

Nie jestem rzecz jasna w tej aprobacie osamotniony.

Józef Hen: Kołodko „z imponującą swadą” ocenił „gąszcz nekających nas zagadnień”. Robert Mundell, noblista z ekonomii (1999): Kołodko „dobrze zna świat, ma wiele oryginalnych spostrzeżeń na temat jego problemów”. Kołodko „jest jednym z najprzenikliwszych obserwatorów światowej gospodarki”, zauważył... Francis Fukuyama, który ulega korzystnej metamorfozie od czasu napisania głośnej, acz niefortunnej książki „Koniec historii”, panegiriku na cześć neoliberalizmu (miała tę jedynie zaletę, że Samuel Huntington replikował wyśmienitym „Zderzeniem cywilizacji”). Nie przesadził nawet wiceprezydent Banku Światowego Justin Yifu Lin, nazywając książkę Kołodki arcydziełem.

Od siebie dodam, że w tych fragmentach „Wędrującego świata”, w których Kołodko obnaża absurdy neoliberalizmu i przedstawia korzyści z interwencjonizmu – jest on odkrywcy prawie jak Keynes. A gdy opisuje życie w nigeryjskiej wiosce Okedede, acz godne życie w nigeryjskiej

Tam, gdzie Kołodko obnaża absurdy neoliberalizmu i przedstawia korzyści z interwencjonizmu – jest odkrywcy prawie jak Keynes. A gdy opisuje życie w nigeryjskiej wiosce Okedede – jest pisarsko biegły niemal jak Kapuściński!

wiosce Okedede – jest pisarsko biegły niemal jak Kapuściński!

Gdyby Kołodko (najlepiej wraz z Tadeuszem Kowalikiem, którego poglądy są zbliżone) przejął kilkanaście lat temu ster gospodarki, to byłibyśmy w czołówce państw europejskich, a nie gdzieś na początku ich końcówek.

Trudno jedynie oprzeć się wrażeniu, że Kołodko

z przesadną elegancją

odnosi się do głównego swego adwersarza w teorii i praktyce ekonomii; do polityka, o którym z gryzącą ironią wyrażał się Zbigniew Herbert, ale który uchodzi za *spiritus movens* przeobrażenia Polski komunistycznej w Polskę kapitalistyczną. Jego nazwiska Kołodko ani razu bodaj nie wymienił! Wystarczyło mu wytknięcie byłemu „wicepremierowi i ministrowi finansów”, że firmował „szokową terapię naiwnego neoliberalizmu”, minimalizował rolę państwa i preferował „grupy interesu kosztem szerokiej rzeszy ludności”.

Plus-minus bardziej w lewo

Jesteśmy świadkami SUPERKLĘSKI NEOLIBERALNEJ DEWIACJI! – twierdzi Kołodko. Mocno powiedziane. Ale nobliści jego poglądy na ogół podzielają

I ja przeto zachowam w dyskrekcji nazwisko tego ekonomisty, bądź co bądź zasłużonego w pierwszych latach III Rzeczypospolitej, a ostatnio zaproszonego do którejś z niezliczonych unijnych rad doradczych. Co prawda doprowadził on do anihilacji Unii Wolności, ale jako prezes NBP wypadł niezły; zresztą kierował obniżkami stóp procentowych, jakby się pomaleńku zbliżał... do neokeynsesizmu.

Iście groteskowe były natomiast jego krytyki *welfare state*.

Kto wedle niego był pomysłodawcą „państwa socjalnego” (*vel* „opiekuńczego”, *vel* „dobrobytu”)?

Bismarck. A kto, oprócz Bismarcka, *welfare state* lansował?

Socjaliści, faszyci i komuniści.

Kto „rozgałęzione państwo socjalne” stworzył we Włoszech? Mussolini!

Interesujące, czyż nie? Nie słyszał Pan Profesor o Keynesie ani o *New Deal* Roosevelta, ani o „efekcie mnożnikowym” – strategii zwiększania popytu, choćby kosztem deficytu budżetowego, ani o nader korzystnych dla obywateli sukcesach państw skandynawskich, realizujących idee *welfare state*.

Dalsze jego brechty: co tworzy państwo socjalne nawet w wyobrażeniach „wielu składników inteligentnych ludzi”?

Tworzy je „mentalność radzieckiego działacza”.

Czy państwo socjalne zmniejsza nierówności, o czym przekonana jest przytłaczająca większość znanych ekonomistów?

Ależ skąd, oni się mylą! Ono nierówności powiększa!

Na co więc zasługują zwolennicy i twórcy państwa socjalnego?

Na moralne potępienie.

Te złote myśli wypowiedział Profesor Wi-cepremier na posiedzeniu Polskiej Rady

Biznesu. Biznesmenom się one niewątpliwie podobały.

Teraz, żeby

poprawić wizerunek luminarzy ekonomii,

przytoczę niektóre z myśli Kołodki, jakie wyłożył w programie Moniki Olejnik „Kropka nad i” – w przeddzień wyborów prezydenckich za oceanem.

„Dla USA lepszy byłby Barack Obama. Ma lepszą ekipę. Wygra! Jego polityka będzie społecznie bardziej życzliwa. Interwencja państwowa jest potrzebna. Tak jak w latach 50. państwo budowało w USA sieć autostrad.

Kryzys przewidywałem. Trzy lata temu był on już nie do uniknięcia. Ale 13 lat temu można mu było zapobiec”.

Na koniec strzał w dziesiątkę:

„Jesteśmy świadkami SUPERKLĘSKI NEOLIBERALNEJ DEWIACJI!”.

Mocno powiedziane. Ale nobliści poglądy Kołodki na ogół podzielają. Joseph Stiglitz (Nobel 2001): „W latach 30. XX w. kapitalizm został uratowany przez Keynesa (...). Lekarstwo Keynesa okazało się skuteczne: od zakończenia II wojny światowej takie kraje jak Stany Zjednoczone, stosując się do jego zaleceń, przeżywały rządy i krótsze okresy dekonstrukcji i dłuższe okresy ożywienia (...). Niewiedzialna ręka Adama Smitha – teoria, że wolny rynek sam z siebie prowadzi do efektywności – jest niewiedzialna m.in. dlatego, że jej nie ma”.

Paul Krugman (Nobel 2008); jego opinie przytaczam wedle tekstu Jacka Żakowskiego, tuza publicystyki („Polityka”, 25.10.2008).

...Krugman słynie przede wszystkim z ostrej opozycji wobec Friedmana, jego wiary w nieomyślność rynków i szkodliwość interwencji państwa.

...Nobel podniósł jego autorytet. Był na tę nagrodę ciut za młody, ale najwidoczniej uznano, że trzeba czymś zastąpić doktrynę neoliberalną, tym, co się dopiero wyłania, bo jeszcze się nie pojawił „nowy Keynes”.

Czy Krugman go zastąpi? Niewykluczone. Bardzo prawdopodobne. On już w 1988 r., w apogeum neoliberalizmu, napisał: „Czy idee Keynesa przestały być ważne?”.



John Galbraith – wybitny amerykański ekonomista, zagorzały keynesista – głosił, że współczesny kapitalizm jest zdominowany przez wielkie korporacje, które niszczą wolną konkurencję. Uważał też, iż Amerykanie – którzy zalecają światu skrajny leseferyzm –

sami nigdy nie polegali wyłącznie na rynku.

Co się dobitnie ujawniło przed paroma tygodniami! Nikomu chyba nie przyszło do głowy, że interwencja państwowa może wynieść – na początek! – niebotyczną kwotę 700 mld dol. A potem nastąpią dalsze subwencje. Keynes, zalecając interwencjonizm, nie marzył o jednej dziesiątej takich kwot. „Tańszy” był inspirowany przezeń rooseveltofski „Projekt Tennessee Valley”, ale i tak pomógł przezwyciężyć skutki Wielkiego Kryzysu. Co oczywiście nie znaczy (i Kołodko tego nie zaleca), że metody keynesowskie sprzed kilkudziesięciu lat można i należy dokładnie powielać obecnie. Nie, czasy się zmieniły. Ale istota keynesizmu – akcent na konieczność wzmagania popytu w celu przezwyciężenia kryzysu, w tym przestroga

Kołodko, choć lubuje się w dosadnych słowach, nie jest ekonomistą jednowymiarowym.

przed nadmiernym oszczędzaniem, które może powstrzymać „efekt mnożnikowy” – pozostała niezmiennie aktualna.

John Gray, znakomity filozof brytyjski, w książce „Fałszywy świat” (1998): „Po upływie mniej więcej roku trudno będzie znaleźć choćby jedną osobę, która przynajmniej kiedykolwiek wierzyła w sensowność kon-

Gdyby Kołodko (najlepiej wraz z Tadeuszem Kowalikiem) przejął kilkanaście lat temu ster gospodarki, to byłibyśmy w czołówce państw europejskich, a nie gdzieś na początku ich końcówki.

cepcji globalnej ekonomii światowej opartej na zasadach wolnego rynku”.

To już przesada. W samej tylko Polsce jest jeszcze co najmniej trzech zakamieniałych fanów Friedmana i starego Smitha. Trzymają się dziarsko! No, może jest ich dwóch, bo byli Wicepremier, Wielki Reformator, optuje za obniżką stóp procentowych, tak jak Keynes. Drugi, wybitny publicysta i osobieście uroczy człowiek, jedyny bodaj uważa, iż obecny kryzys finansowy wcale nie kompromituje funkcjonowania rynku; przeciwnie – „rynek w końcu upomniał się o swoje”. Kto zatem zawinił? „Otoczenie rynku tworzone przez państwo”. Pogratiulować konsekwencji, wbrew całemu światu. No, oprócz trzeciego z niezłomnych neoliberalistów, Jana Winieckiego, prezesa polskich ekonomistów; ale jego nie ma co słuchać, on przy Gadomskim jest jak liliput przy Tytanie. Ponoć dlatego, że liliput fascynował się ongiś ruandyjskim plemieniem dwumetrowych Tutsi. Na tym się podobno zna.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć (za Krugmanem, cytowanym przez Kowalika), jak wzrastały w USA – za Reagana, Busha ojca i Clintona – nierówności wynagrodzeń. Przeciętna roczna płaca urosła tam od 1970 do 1999 r. z 32,5 tys. do 35,9 tys. dol., czyli zaledwie o 10% przez trzy dekady. Marne. W tym samym czasie przeciętne wynagrodzenie roczne stu prezesów największych korporacji wzrosło z 1,3 mln do 37 mln dol.! Ale byli w tej setce i lepiej opłacani, np. prezes korporacji Walt Disney zarobił w 1998 r. 575 mln dol. Nieszcześnie czo-

wiek! Ileż się musiał natrudzić, by dzień w dzień wydać półtora miliona „zielonych”!

Jest też inne obliczenie nierówności majątkowych w światowej skali. Otóż 358 najbogatszych multimiliarderów posiada tyleż bogactwa – wedle „United Nations Development Programme” (1996) – co prawie połowa, ta biedniejsza, całej ludzkości. Jana Winieckiego wśród owych 358 potentatów chyba nie ma, mimo że na to zasłużył bałwochwalczym kultem wolnego rynku.

Od statystyk wróćmy do idei. Kołodko, choć lubuje się w dosadnych słowach, nie jest ekonomistą jednowymiarowym, jak ci z luminary monetaryzmu, którzy – w ślad za Sachsem i Fukuyamą – zaczynają się nawracać na keynesizm. Fukuyama wprowadził fanów w osłupienie, gdy w kolejnym hicie „Koniec człowieka” wyznał: „Wolny rynek zazwyczaj działa dobrze, ale zdarzają się sytuacje awaryjne, które wymagają interwencji państwa”; czego właśnie jesteśmy świadkami.

Natomiast Kołodko nie unika ambiwalencji. Przyznaje: „Rację może mieć w jednych sprawach keynesizm, w drugich monetaryzm i nie ma bynajmniej konieczności zapisywania się wyłącznie do którejś z tych szkół, trzeba umieć korzystać z obu”. Ale słusznie uważa, że poza myśleniem finansowym trzeba w ekonomii uwzględnić kulturę, etykę, psychologię.

Najlepiej – to już dodam od siebie, *vide* książka „Inne światy, inne drogi” – łączyć oba nurty w któryś z wariantów Trzeciej Drogi, lepiej-gorzej funkcjonujących w świe-

cie (zwłaszcza w Azji Południowo-Wschodniej!) bądź dopiero czekających na konkretyzację w praktyce.

Teraz pokrótce o poglądach kilku tuzów światowej myśli ekonomicznej.

Wspomniany Jeffrey Sachs, przed laty „guru” samego Balcerowicza, ostatnio

dystansuje się od neoliberalnych monetarystów.

Utykuje np., że Międzynarodowy Fundusz Walutowy dostał się „pod czar” banków inwestycyjnych, „czyniąc świat bardziej bezpiecznym dla spekulowania i być może bardziej niebezpiecznym dla reszty z nas”. Słusznie, choć zbyt ostrożnie... Jakże „może być”? Przecież widzimy już na całym świecie, z USA na czele, do czego doprowadziła dominacja i dezynwoltura sektora bankowego.

George Soros (Kowalik: „Intelektualnie niezwykle płodny finansista”) już pięć lat te-

Że oczywiście trzeba ograniczać produkcję, póki podaż nie zrówna się z popytem.

A co radził Keynes?

Żeby postępować odwrotnie! Jeśli jest za dużo towaru na składzie – to należy produkować jeszcze więcej! Byle ludzie zarabiali i mieli co wydawać. Warto dać łopaty milionowi robotników, by jedni kopali rowy, a drudzy je zasypywali – ważne tylko, by im zapłacono!

Skąd na to brać pieniądze?

Choćby z deficytu budżetowego! Przecież żadne jeszcze państwo z zadłużenia nie zbankrutowało i nie zostało wystawione na licytację! (Chociaż... Czy aby pod młotek nie pójdzie teraz Islandia?).

I co z tego kopania rowów ma wynikać?

Kopacze dostaną pieniądze, więc kupią sobie chleb.

Zarobią piekarze. Kupią sobie rowery, może pójdą do krawca?

Krawcy zaczną chodzić do fryzjera. I do kina.

Przeciętna roczna płaca w USA urosła od 1970 do 1999 roku z 32,5 tys. do 35,9 tys. dolarów, czyli zaledwie o 10%. W tym samym czasie przeciętne wynagrodzenie roczne stu prezesów największych korporacji wzrosło z 1,3 mln do 37 mln dolarów!

mu, gdy nikt jeszcze nie odczuwał grozy krachu bankowo-giełdowego, przestrzegał: „...nasza cywilizacja jest w niebezpieczeństwie. Traci więc sens staranie się o poprawienie pozycji naszego systemu społecznego, jeśli sam system dryfuje w kierunku katastrofy”.

Benjamin Barber (autor sławnego „Dziad kontra McŚwiat”): „Upada mit, że rynek i prywatyzacja są rozwiązaniem wszelkich ekonomicznych problemów (...). 4 listopada 2008 jest końcem neoliberalnych złudzeń, końcem wrogości wobec interwencjonizmu państwowego”. Wiwat Obama!

Jerome Rifkin już w 1995 r. przewidział: „Sceptycy mają chyba rację, niepokojąc się z powodu czekającego nas bezrobocia, redukcji liczby miejsc pracy i siły nabywczej. Wzrost bezrobocia technologicznego i spadek siły nabywczej będą nadal pląga gospodarki światowej, osłabiając zdolność rządów do skutecznej polityki wewnętrznej”.

Filozof brytyjski John Gray (1998) „...trudno będzie znaleźć choćby jedną osobę, która przyzna, że kiedykolwiek wierzyła w sensowność koncepcji globalnej ekonomii światowej opartej na zasadach wolnego rynku”.

Ba! Już grubo ponad pół wieku temu, w roku akademickim 1948/1949, wspaniały profesor, Edward Lipiński, oraz jego asystentka dr Tatar-Zagórska uczyli mnie w Szkole Głównej Handlowej keynesizmu, który wówczas dopiero wchodził w fazę rozkwitu i tworzenia na Zachodzie „państw dobrobytu”, gdy Wschód zapadał się w komunę. Pani Tatar-Zagórska objaśniała:

Dlaczego powstają kryzysy?

Bo spada popyt, towary leżą niesprzedane, zwalniamy pracowników.

Co na to radzi szkoła liberalna?

Fryzjerzy kupią auta. No i nastaną lepsze dni dla branży filmowej. Zadziała efekt mnożnikowy.

Tak właśnie się potoczyło w Ameryce, w latach 30. Bardzo dużo ziemi przerzucono w ramach „Projektu Doliny Tennessee”. Ona nie była pilnie potrzebna ani energetyce, ani żegludze, ale rozkręciła całą gospodarkę.

Czemu później mechanizm bodźców popytowych jakby się zaciął? Powodów było wiele. Najważniejszy: ludzie, zamiast radośnie wydawać, zaczęli oszczędzać; a to w pończosze, a to w banku.

Czyli popyt spadł. Siada gospodarka. Zatrudniać się oszczędzanie.

Ale Witold Gadowski nadal wzywa w gazecie, która się nigdy nie myli: Oszczędzajcie! OSZCZĘDZAJCIE!!!

Trochę racji może ma. Racja prawie zawsze leży pośrodku. Woła Gadowski: „Obama musi powiedzieć Ameryce, że czas zacząć pasą”. Keynes zaciskanie pasa uważał za przyczynę bessy. I jemu mimo wszystko wierzę bardziej. Pójdę na zakupy! (Jednak do Lidla, bo tam dużo taniej...).

Tak zblizłem się do sedna mych wywodów, które zainspirowali – jestem im za to wdzięczny – neoliberalni mędrcy z Centrum im. Adama Smitha. Ich namietnością, ich pasją jest powtarzanie w kółko dwóch głupostek, które traktują (zwłaszcza czyni to małutki były premier, teraz bankowiec) jako swą niezbitą mądrość: że „Kij ma tylko dwa końce” oraz że „Trzecia Droga – do Trzeciego Świata”...

Otóż prawda jest odwrotna.

Primo, jedyną substancją każdego kija jest jego przestrzeń międzykończasta między punktami skrajnymi, którymi są wynawcy kimildzongizmu z jednej, a korwinmikkizmu z drugiej strony. Można je też na-

zwać biegunami głupoty. Realnością są jedynie niezliczone warianty dróg pośrednich – już realizowanych bądź mniej-bardziej prawdopodobnych.

Sporo o nich, nie zawsze trafnie, napisał dyrektor słynnej London School of Economics Anthony Giddens, guru brytyjskich laburzystów, w książce „Trzecia Droga. Odnowa socjaldemokracji”. Istotne jest jego pojęcie gospodarki mieszanej, polegającej na „synergii” sektora prywatnego i państwowego, na równowadze regulacji z deregulacją, a także na coraz większym udziale własności społecznej (głównie organizacji „non-profit”).

Słabością Giddensa jest nieznajomość doświadczeń azjatyckich. Tymczasem, *secundo*, wiele państw Trzeciego Świata – istotnie nad wyraz skutecznie – podąża Trzecią Drogą. Od dawien dawna czyni to Japonia, gdzie ogromną rolę odgrywa MITI, potężne Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Przemysłu. W ślad za nią podążyły trzy dekady temu „azjatyckie tygrysy”, sterowane przez genialnego Lee Kuan Yew, który do mikstury wolnorynkowo-interwencyjnej w Singapurze dodał nieco... konfucjanizmu; a malezyjski sędziad, muzułmanin Mahathir, jeszcze szczyptę... islamu. Następnie – i przede wszystkim – własną drogę pośrednią obrały Chiny, wedle nauki Deng Xiaopinga, który nauczał: „Nieważne, czy kot jest biały, czy czarny, ważne, żeby łapał myszy”; i w tym duchu chiński gigant buduje swą potęgę ekonomiczną, która najdalej za ćwierć wieku będzie przodowała światu (o militariach lepiej nie mówić, nie kusić złego). Obecnie jeszcze Indie, do niedawna symbol krańcowej biedy, podążają podobną drogą; są przy tym bliżej demokracji. Zwane są nawet „największą demokracją świata”, mimo że w kwestiach społecznych i etycznych holdują, jak przed wiekami i tysiącletkami, idei, że „ludzie są nierówni”, co jest przeciwstawne przekonaniom Zachodu.

Oby i Polsce udało się potoczyć własną drogą, ale trzecioświatowym kursem – między doktrynalnymi skrajnościami.

A neoliberalowie niechby wykuli i przyswoili sobie dwie inne sentencje, będące dyrektywą dla sztuki dyplomacji oraz – przede wszystkim – skutecznego rządzenia. Obydwie wymyślił prosty elektryk, imponujący charyzmą i intuicją: „Jestem ZA, a nawet PRZECIWIW” oraz „Są plusy dodatnie i są plusy ujemne”.

Uccie się od niego, mędrcy. To się i w ekonomii sprawdza.

PS Jeśli cokolwiek w ekonomii jest pewne, to to, że Obama, ten „czarny mesjasz nowej lewicy” – jak go nazwał pewien poseł typu brunatnych bojówkarzy – musi być bardziej ZA Keynesem, chociaż nie całkiem PRZECIWIW Friedmanowi. I ten, i tamten mogą być dlań plusami, niekoniecznie ujemnymi.

A my czekamy plus-minus na Kołodkę.

On o neoliberalizmie powiedział krótko: „Tę bestię trzeba dobić”.

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

Autor jest wiceprezydentem Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia.